

MIŁOŚĆ

POD PSIA

GWIAZDĄ

Książki Anny Łaciny w Wydawnictwie „Nasza Księgarnia”:

Czynnik miłości

Kradzione róże

Miłość pod Psią Gwiazdą

Telefony do przyjaciela

Dzika jabłoń

Niebo nad pustynią

ANNA ŁACINA



MIŁOŚĆ
POD PSIĄ
GWIAZDĄ

NASZA KSIĘGARNIA

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2010
Text © copyright by Anna Łacina, 2010

Projekt okładki *Joanna Gwis*
Zdjęcie na okładce
© Shutterstock/Elena Schweitzer

*Góra
chmury pękały czarne
coraz czarniejsze
jakby koni frygijskich groźne tabuny
aż grom
przeszył obraz nie dokończony jeszcze
a model spadał
głową w dół
w płótno
i wrósł
w ciepłe jeszcze kontury
nagłego olśnienia*

*To był ranek
a ty się śmiałaś do mnie z portretu*

Edward Stachura, *Metamorfoza*

ROZDZIAŁ I

Piątek, 10 października 2008

1.

Andrzej sapnął z zadowoleniem. Nie sądził, że znalezienie tego w necie okaże się aż tak proste.

„1 wynik (0,21 s)” – poinformowała go wyszukiwarka i skierowała na jakiegoś bloga.

Ucieszył się. Jeden wynik – to mogło oznaczać, że wiersz zgubiła autorka, a nie zbieraczka, przepisująca co lepsze kawałki z sieci. Kliknął w link i raz jeszcze zerknął na trzymaną w rękę kartkę, porównując napisany odręcznie tekst z widocznym na ekranie. Tak... ten sam.

Pełna nadziei

Że nie jesteś

Jej

Marzę o zielonych oczach

O księżycowym zającu z wiaderkiem westchnień

Lwie psy biegną przed nami

Śnię

Nie chcę się obudzić

Ale Ty kochasz nie mnie

Choć

Nie wiesz

Tańczymy wokół siebie

W maskach

Wietrzny karnawał

– Wietrzny karnawał – powtórzył. – Wieczny karnawał.

Spodobała mu się ta dwuznaczność. Osoba, która pisze takie rzeczy, nie może być zwykłą rozchichotaną małąlatą. I przedstawiła się w sposób, który dziwnie chwycił go za serce, bo sam miał takie myśli jeszcze niedawno. Zwłaszcza fragment „Lubię mówić z Tobą”, niemal słyszał gdzieś w tle tę niesamowitą saksofonową końcówkę, gdy czytał wpis dziewczyny. Tara-tara-tara-dam-dam-tara, tara-tara-tara-dam-dam-tara...

O mnie

Deszczowa

Jaka jestem? Najprościej, najbanalniej: mam 17 lat, chodzę do liceum. Ale to przecież nie jest najważniejsze, kiedy o sobie myślę. A co jest ważne? Uczucia. Założyłam tego bloga, bo „kiedy z serca płyną słowa, uderzają z wielką mocą...”. Za mało mam odwagi, żeby to komuś pokazać. Więc może chociaż tutaj... A dlaczego Deszczowa? Bo płacz mi często stoi na krawędzi powiek. Jak deszcz.

Sama się wstydzę, kiedy czytam to, co powyżej napisałam. Nie lubię w sobie tej egzaltacji. Ale przecież gdzieś tam we mnie jest.

„I dlatego lubię mówić z Tobą”¹ – dokończył w myślach.

Nie zamieściła zdjęcia. Awatarem było oko ze spływającą łzą, a blog nazwała *Spis nikomu niepotrzebnych myśli moich*.

Czy dziewczyna, której sfrunęła kartka z wierszem, to właśnie Deszczowa? Ale która z nich? Tyle ich siedziało na galerii sali gimnastycznej. Może ta niepozorna blondyneczka albo ta patykowata, z włosami skręconymi w pierścionki? Miał nadzieję, że nie. Była dla niego stanowczo zbyt wysoka. Bo chyba nie tamta barbie w różowym ani ta druga, spalona na solarium,

¹ *Lubię mówić z tobą*, Akurat.

wylewająca się ze zbyt obcisłych spodni? Nie. Niemożliwe, żeby Deszczowa lubiła solarium.

Wyobraził sobie park podczas ulewy, on idzie pod wielkim czarnym parasolem i nagle spotyka ją. Wyglądałaby... zwyczajnie. Ładna, ale nie za bardzo. Bałby się podejść do zbyt ładnej dziewczyny.

Stałaby pod drzewem, w mokrej sukience, deszcz spływałby po jej długich włosach. On podszedłby i osłonił ją dachem parasola. I dalej poszliby już razem, w szumie deszczu, w melodii kropel...

– Andrzej, cholera jasna! – Głos matki brutalnie przywołał go do rzeczywistości. – No pewnie! To nie ty płacisz za wodę! Ile razy mówiłam, że naczynia nie zmywają się same! Znowu nie dokręciłeś kranu! Czy ty się nigdy nie nauczysz? Jak coś bierzesz, to umyj potem i odstaw na suszarkę, a nie podstawiaj pod lejącą się wodę, no! Ale nie! Nos w komputer i nic go nie obchodzi! A ty, człowieku, martw się, jak związać koniec z końcem!

Zrządzenie oddalało się coraz bardziej. Jak zwykle mama wylała żale i poszła, w ogóle nie oczekując odpowiedzi. Poczuł się winny, więc otworzył ulubioną playlistę na Youtubie i podkręcił głośniki. Rzeczywiście, zjadł resztę zupy i wstawił garnek do zlewu, zamierzając go umyć, tyle że akurat słabo ciekło, jak zwykle w porze obiadowej na dziewiątym piętrze. No a potem oczywiście zapomniał...

Westchnął i wsłuchał się w piosenkę. Taka starość, a jakby pisana specjalnie dla niego:

*Oglądam twój twarz
oglądam twój twarz w lunecie
i nie wiesz o mnie nic
zасыpiasz naga w swoim świecie¹...*

¹ Grzegorz Ciechowski, *Obcy astronom*.

Wpatrzył się w oko ze spływającą po policzku łzą, spoglądające na niego z monitora.

„Nie wiesz o mnie nic – pomyślał – a ja nie wiem, jak wyglądasz...”

Ponownie przywołał obraz zalanego deszczem parku.

Dziewczyna stoi pod drzewem, jej mokra sukienka lepi się do ciała. Włosy, ciężkie od wody, spływają wzdłuż szyi aż do... No, spływają – czym prędzej nakazał swojej wyobraźni, by zatrzymała się na oczach Deszczowej, na jej policzkach, mokrych... może od łez?

Wziął głęboki oddech, jak przed skokiem do wody, i napisał w komentarzu:

Witaj, Deszczowa.

Mam rękopis Twojego wiersza, który znalazłem dzisiaj w sali gimnastycznej. Jeśli chcesz go odzyskać, to będę jutro w Astrolabium (wklejam [link](#) do mapy) od 17:00 do 18:00. Poznasz mnie po kartce z wierszem, leżącej na stoliku. Zapraszam Cię na dobrą kawę i coś do kawy ☺

AO

I dopiero kiedy kliknął „wyślij”, uświadomił sobie, że zapomniał się przelogować. Jęknął z rozpaczą. Planował skomentować bloga anonimowo albo używając swojego oficjalnego, brzmiącego nieco staroświecko nicka Obcy_Astronom, pod którym starał się pisać rzeczy mądre i wyważone.

Tymczasem wysłał komentarz jako Piorun_Kaczora; był to nick, którego używał do ostrych dyskusji i flejmów.

„Pierwsze wrażenie można zrobić tylko raz – pomyślał zniechęcony. – A ja jak zwykle zaczynam od falstartu”.

Wszedł na forum i postanowił trochę potrollować dla uspokojenia emocji. Trudno, przepadło. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

2.

„Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem” – pomyślała Lucyna. Dzień zaczął jej się fatalnie, a potem było już tylko gorzej. Najpierw okazało się, że Padalec napoczął mleko z kartonika, oczywiście nic nikomu nie powiedział, do lodówki też nie raczył schować. Zepsuło się. Zarzuciła mu, że zrobił to specjalnie, przecież Leszek zawsze je płatki na śniadanie, Padalec dobrze o tym wie. Roześmiał jej się w twarz, trzasnął drzwiami i wyszedł. Bez śniadania. Leszek tak samo. Nie krzychał wprawdzie, w ogóle tego nie skomentował, stwierdził, że przekąsi coś w barze, i poszedł do pracy, ale powinna była sprawdzić poprzedniego dnia, czy niczego nie brakuje. Zwłaszcza że Leszek ma dziś dyżur, więc porządnego obiadu też nie zje.

Chyba z tych nerwów kupiła aż trzy opakowania Wiejskiego, skuszona promocją, dopiero w domu zorientowała się, że na kartoniku nie ma słowa „mleko”. Przeczytała etykietę – no oczywiście. Produkt mlekopodobny. Na szczęście też UHT. Schowała w swoim pokoju. Kiedyś pod nieobecność Leszka podsunie Padalcowi. On zje i wypije wszystko.

„Jak by to było miło, gdyby zniknął z naszego życia – westchnęła – wyjechał gdzieś... Najlepiej za granicę, do matki”. Leszka udało się wyrwać ze szponów tej okropnej kobiety, ale jej synalek ciągle płątał się po domu jak wyrzut sumienia. A niestety wdał się w matkę. I z urody, i z charakteru. Arogancki, kłótlivy, nieposłuszny. Leszek za dużo mu ustępuje.

Lucyna wypucowała kuchnię, wyczyściła kafelki w łazience, ale ciągle czuła się niespokojna. Asia przybiegła ze szkoły, więc zjadły wczesny obiad, potem kazała córce odrabiać lekcje i postanowiła się przejść. Samotne wędrowki to była jej jedyna przyjemność, której nie chciała dzielić z nikim. Potrzebowała chwili dla siebie, jak niektórzy potrzebują seriali, słodczy albo używek. Dochodziła wtedy do ładu ze sobą i znów mogła pracować, gotować, sprzątać, znosić humory Padalca, samotność, kolejne przybywające lata i kilogramy. Kiedy była zła, szła szybko, prawie biegła, kiedy czuła się szczęśliwa, kroczyła powoli, delectując się każdą chwilą.

Mieszkali w Toruniu od niedawna, to znaczy odkąd Leszek dostał tu lepszą pracę, więc nie miała jeszcze swoich ulubionych drózek. Za każdym razem poznawała inny fragment miasta. Zwykle zwiedzała najbliższą okolicę, czasem jechała autobusem albo tramwajem możliwie daleko, a potem próbowała znaleźć drogę powrotną. Tego dnia, korzystając z pięknej pogody, wybrała się na peryferie, gdzie domki jednorodzinne, wybudowane zaledwie parę lat temu – o czym świadczyły świeżo otynkowane ściany i młode drzewa w ogródkach – sąsiadowały ze starymi gospodarstwami, takimi z oborą, maszynami rolniczymi i kurami biegającymi po podwórku. Skręciła w polną drogę, zwabiona złotem i czerwienią niedalekiego zagajnika. Nazbiera kolorowych liści i ustawi w pokojach, by i w domu czuło się jesień. A może nawet znajdzie parę grzybów? Nieoczekiwanie pomyślała, że tak chyba wygląda szczęście. Poranny gniew dawno się ulotnił, otaczał ją zapach jesiennych liści, bogactwo kolorów, a ciepłe promienie październikowego słońca głąskały po włosach. Czuła się młodo, lekko i radośnie.

I właśnie wtedy usłyszała ujadanie, krzyki, śmiechy, a potem skowyt.

Przyśpieszyła kroku. Grupka dzieci, niewiele starszych od Asi, zgromadziła się przy krzywym płocie otaczającym zaniedbane gospodarstwo i najwyraźniej świetnie się bawiła, wymachując kijami i ciskając kamieniami w coś, co miało się po drugiej stronie ogrodzenia.

– A wy tu czego?! – wrzasnęła Lucyna z furią. – Zmykać mi stąd, ale już!

Dzieciaki rozprysły się na boki jak spłoszone gołębie. Kiedy znalazły się w bezpiecznej odległości, znów zebrały się razem i obrzuciły ją wyzwiskami.

Lucyna przyjrzała się psu. Skulony pod daszkiem ze skośnie ustawionych desek, szczyrzył zęby i łypał na nią przekrwionymi ślepiami. A właściwie jednym, bo drugie oko miał przymknięte i sklezione ropą. Trudno się dziwić, skoro dzieciaki rzucały w niego kamieniami i grudami ziemi. Pewnie nie po raz pierwszy.

Westchnęła nad smutnym losem zwierzaka. Czy ktoś doceni jego wierność i oddanie?

– Taki los – szepnęła. – Biedactwo...

Bachory, znudzone, już sobie poszły. Lucyna też ruszyła w drogę powrotną. Kolory jesieni przestały ją cieszyć. A serce miała cięższe niż wszystkie kamienie, którymi dzieciaki obrzucały psa.

3.

Andrzej właśnie pisał zjadliwy komentarz, gdy drzwi otworzyły się z trzaskiem i wpadła Alicja. Barwna jak papuga i jak papuga rozwrzeszczana, wybiła go z koncentracji. Wykrzykiwała coś z przedpokoju do matki o tym, jak minął dzień, o klientach, jakiejś historii, które przecież powierzali tylko jej. Zajrzała do jego pokoju.

– Cześć, mały! – wrzasnęła. – Czego słuchasz?

Zły, wyciszył głośnik niemal do zera. Alicja wzięła to za dobrą monetę i zaczęła wyginać się na boki, podrygiwać, kręcić biodrami, nucąc nieco fałszywie:

– Bam-bam bi-dam, bam-bam bi-dam bam, bam-bam bi-dam, bam-bam bi-dam bam... Puść mi Rihannę, co? – zażądała. – Dzisiaj w zakładzie leciała w kółko i teraz mnie przesładuje. – Chwyciła bez pytania jego futerał od okularów i ciągle podrygując, zaśpiewała do wymyślanego mikrofonu: – Uuuu eeeaaa... *Yeah!*

Rzucił jej wrogie, milczące spojrzenie, licząc, że zrozumie i opuści cudze terytorium, ale równie dobrze mógłby żądać od ściany, by się przesunęła. Alicja podeszła bliżej i zajrzała mu przez ramię. Szybko zminimalizował okno przeglądarki.

– Wpuść mnie na chwileczkę. Dosłownie na sekundkę – poprosiła głosem kapiącym od słodyczy. – Bam-bam bi-dam, bam-bam bi-dam bam... Bam-bam bi-dam, bam-bam bi-dam bam...

Mogłaby chociaż nie śpiewać. Nienawidził tej rozwrzeszczanej piosenkareczki, nienawidził wszystkich piosenkareczek świata, a najbardziej nienawidził swojej starszej siostry. Wylogował się z komputera i zwolnił krzesło. Rozsiadła się natychmiast, zadowolona. Zasłoniła ekran, ale i tak wiedział, że za chwilę wstuka jednym palcem AliciaO, logując się jako inny użytkownik. Wolał jej nie dopuszczać do swoich plików i ustawień, a własne hasło zmieniał co dwa tygodnie. Profilaktycznie.

Westchnął i wyszedł z pokoju. Zrobi sobie coś do jedzenia. Na pocieszenie.

4.

Całe szczęście, że urywające się do Alicji telefony w końcu wywabiły ją z domu. Andrzej z ulgą zajął zwolnione miejsce przed swoim komputerem. Na blogu Deszczowej cisza. Przeczytała jego wpis? Przyjdzie?

– Zobaczymy – mruknął przez zęby i odpalił jedną z ulubionych gier. Tu był wysokim, gibkim wojownikiem, obdarzonym magiczną mocą, odzianym w błyszczącą zbroję i wyposażonym w cały podręczny arsenał, ciągle ulepszany i uzupełniany. Umiał się teleportować, biec bez zmęczenia, zwyciężał nawet w walce ze smokami, a poruszając się, niczego nie przewracał ani nie zrzucał. Szybki, zręczny, dzielny... dlaczego tak nie może być w realu?

Zatonął w wirtualnym świecie, aż ojciec, który wszedł do pokoju, musiał położyć mu rękę na ramieniu, by poinformować o swojej obecności.

– Chwila! – mruknął Andrzej. Zadał jeszcze kilkanaście ciosów mieczem, zebrał łupy i dopiero wtedy zdjął słuchawki. Spojrzał pytająco.

– Już późno – powiedział ojciec nieśmiało. – Nie powinieneś iść spać?

– Jutro sobota – przypomniał, ale wylogował się z gry. Faktycznie, siedział przed monitorem cztery bite godziny. Wystarczy. Co miał zrobić, już zrobił, nie ma sensu łązić dalej po lesie, tłukąc wszystko, co się rusza.

– No tak, ale przecież...

Andrzej westchnął znacząco i ojciec natychmiast zamilkł.

– Coś dobrego? – spytał po chwili, sięgając po słuchawki.
– Mogę?

Andrzej skinął głową i przełączył z powrotem na playlistę, której słuchał, zanim zaczął rozgrywkę.

– O! – ucieszył się ojciec. – Republika! Wiesz, że na ich koncercie poznałem twoją matkę? Jaka to była śliczna dziewczyna... – Rozmarzył się i zaczął opowiadać, a Andrzej nie przerywał, chociaż słyszał tę historię wiele razy. Rodzice poznali się podczas juwenaliów. Matka chodziła do liceum, ojciec był na czwartym roku historii. Co on w niej widział? Rozwrzeszczana małolata zgrywająca studentkę. Wyobraził sobie siebie na juwenaliach, a przecież matka miała wtedy mniej lat niż on teraz, i mało nie parsknął śmiechem. Dziewczyny są dziwne.

– Pewnie cię nudzę – zreflektował się ojciec.

– Nie, skąd! – skłamał natychmiast.

– Bo właściwie przyszedłem przypomnieć, że jutro wstajemy przed szóstą. No, może parę minut po – poprawił się natychmiast, widząc minę syna – ale to jednak sześć godzin jazdy. Im wcześniej się uda wyjechać, tym lepiej. Żeby jeszcze odsapnąć trochę i zaaklimatyzować się przed wystawą...

Andrzej klepnął się w czoło.

– Radzynie! Kompletnie zapomniałem!

– ...i do Tomków wpadniemy na obiad, jak zwykle – dokończył ojciec. – No! – Uśmiechnął się i wstał z krzesła. – Zmykaj spać, bo jutro rano będzie płacz i zgrzytanie zębów.

Andrzej westchnął. W sobotę w Radzynie Podlaskim zaczynała się ogólnopolska wystawa modelarska. Odkąd pamiętał, ojciec całymi dniami, a czasem i nocami, w każdej wolnej chwili, ku utrapieniu matki kleił, szlifował i malował modele samolotów, starając się jak najbardziej upodobnić każdy do oryginału. Potrafił godzinami opowiadać, co dany samolot potrafi, w jakich słynnych bitwach brał udział, kto nim latał, w którym roku zaczęto, a w którym zakończono jego produkcję i inne tego typu rzeczy. Andrzej nie podzielał jego pasji. Próbował, gdy był mały, ale spod jego palców wychodziły wyłącznie ubabrane klejem garbate stwory niepodobne do niczego. Poza tym co to za model, choćby najwierniejszy, który tylko stoi i ładnie wygląda?

Już zwykły papierowy samolot ma w sobie więcej życia. Mimo to nie potrafił dotąd odmówić ojcu, gdy ten zabierał go na kolejne wystawy i konkursy. Był nawet na swój sposób dumny, kiedy zdobywali (no dobrze, ojciec zdobywał) nagrody czy puchary. Rola kibica wydawała się wygodna i mało absorbująca, a ojciec tak się cieszył, że ma z synem wspólną pasję. Tylko...

– Tato... – Zatrzymał go w drzwiach. – Ta wystawa kończy się dopiero w przyszłą sobotę, prawda?

– Dostałem urlop – odparł z uśmiechem. – A tobie przecież napiszę usprawiedliwienie. Wskoczymy na Roztocze, do Krasnobrodu, Zwierzyńca... – zapalał się coraz bardziej – ...w zeszłym roku ominęły nas szumy roztoczańskie, ale w tym nie daruję, zwłaszcza że pogodę zapowiadają prawie letnią, Tomek już mi obiecał...

– Przykro mi – Andrzej spuścił wzrok – ale to maturalna klasa. I... i mamy sprawdzian z matematyki. – Nie skłamał, o ile kartkówkę można nazwać sprawdzianem.

– Na początku roku?

– Cisną nas. – Rozłożył ręce w geście bezradności. – A wiesz, jaki jest Rejewski. „Maszeruj albo giń!”. Prędzej umrze, niż pozwoli komuś w klasie się objąć.

– No tak... – Ojciec pokiwał głową. – Masz rację, szkoła ważniejsza. Mądry z ciebie chłopak.

I wyszedł. A Andrzej poczuł się jak zdrajca.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28

e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy:

tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32

e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

Książka została wydrukowana na papierze

Creamy 60 g/m² wol. 2,0.

zing

Redaktor prowadzący **Anna Garbal**

Opieka merytoryczna **Magdalena Korobkiewicz**

Opracowanie DTP, redakcja techniczna **Agnieszka Czubaszek**

Korekta **Malwina Łozińska,**

Magdalena Szroeder, Magdalena Ruszkowska

ISBN 978-83-10-13256-7

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2017 r.

Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków